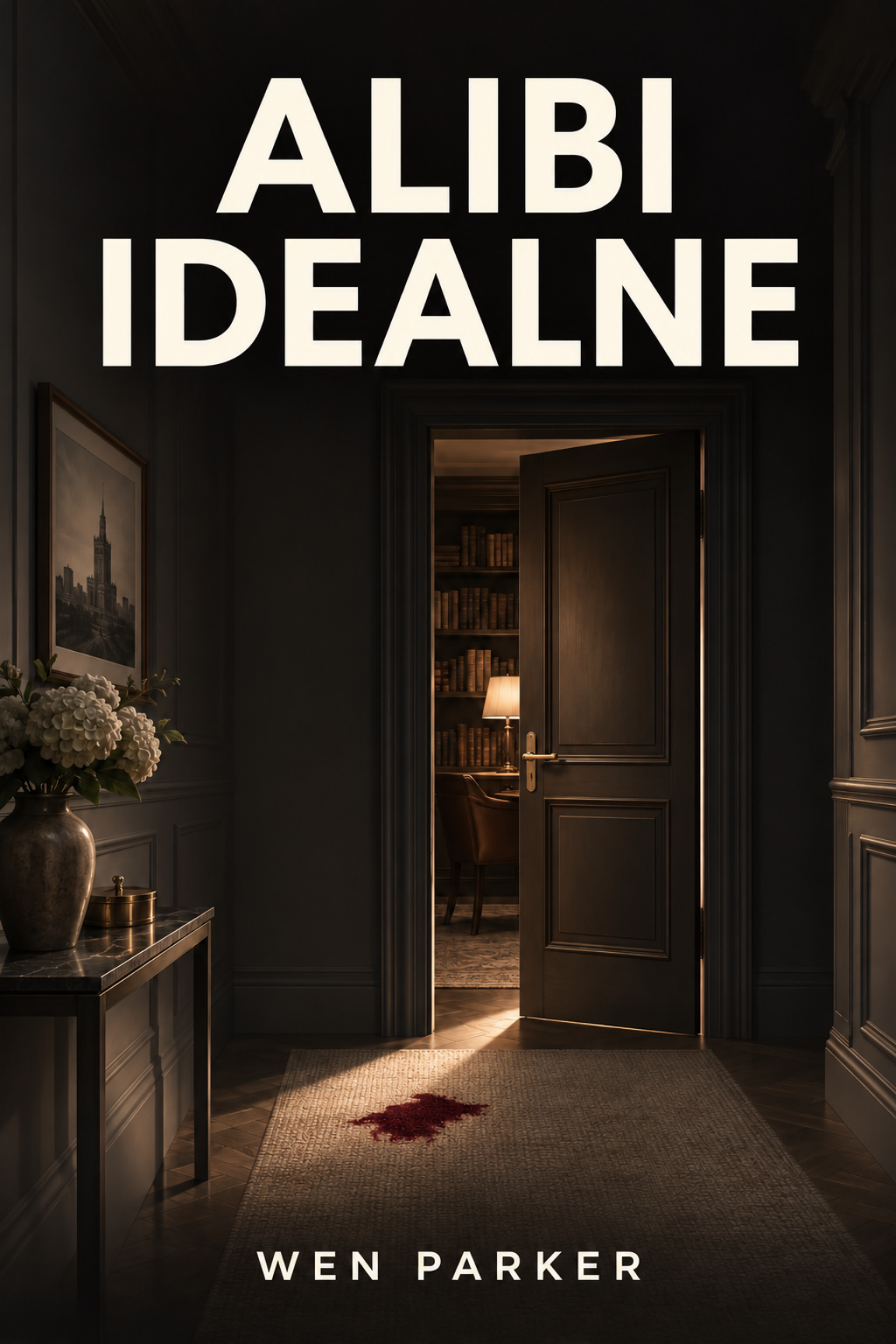
ALIBI IDEALNE



WEN PARKER

Rozdział 1

KLARA

Deszcz bębni o przednią szybę. A może to krew tak huczy mi w uszach.

Ściskam kierownicę tak mocno, że bieleją mi kostki. Na wyświetlaczu pod deską rozdzielczą świecą się dwadzieścia dwa stopnie, a mną wciąż trzęsie. Kremowa koszula lepi się do pleców. Jeszcze kilka godzin temu stukałam obcasami po marmurze w holu. Teraz przemoczone szpilki zostawiają ślady błota na dywaniku.

Spoglądam w lusterko wsteczne. Ciemność. Rozmyte czerwone światła hamowania kilka przecznic dalej. Żadnych niebieskich kogutów. Jeszcze nie.

Trzydzieści pięć lat. Tyle zajęło mi dojście na sam szczyt – i dokładnie jedna noc, żeby spaść w sam środek piekła.

Przez dziesięć lat stałam obok Huberta na bankietach, piłam szampana i uśmiechałam się do kamer. W domu milczałam, kiedy zaciskał palce na moim nadgarstku. Rano wybierałam koszulę z długim rękawem. Wierzyłam mu, kiedy mówił, że to on stworzył kobietę, której cały kraj zazdrości.

Studiowałam historię sztuki. Chciałam otworzyć małą galerię w centrum Warszawy i żyć na własny rachunek. Kiedy ojciec zmarł na zawał sześć lat temu, Hubert podsunął mi pełnomocnictwo do zarządzania rodzinnym funduszem. Miał mnie odciążyć w żałobie. Po kilku latach płaciłam już tylko kartami do jego rachunku. Wiedział, z kim rozmawiam i ile wydaję na kawę.

Dwa lata temu znajoma ze studiów zaproponowała mi przygotowanie wystawy młodej malarki. Spotkałyśmy się w kawiarni i przez półtorej godziny przeglądałyśmy reprodukcje. Miałam już pomysł na katalog, znałam nawet człowieka, który mógłby zająć się oprawą obrazów.

Wieczorem rozłożyłam zdjęcia na stole w jadalni. Hubert obejrzał dwa. Zapytał, ile zamierzam na tym zarobić. Powiedziałam, że na początku chodzi mi przede wszystkim o doświadczenie i kontakty.

– Klara, przecież nie musisz pracować. Chyba że czegoś ci brakuje?

– Chciałabym to zrobić dla siebie.

– A w przyszły czwartek? Mamy kolację z ambasadorem. Nie będziesz chyba przekładała naszych spotkań, bo komuś trzeba zawiesić obraz na ścianie?

Nie zabronił mi przyjąć propozycji. Następnego ranka sam zapytał, czy zadzwoniłam już do znajomej. Powiedziałam jej, że mam za dużo obowiązków. Hubert słyszał tę rozmowę. Kiedy odłożyłam telefon, pocałował mnie w skroń i podziękował za rozsądek.

Najgorsze, że przez kilka następnych dni rzeczywiście czułam się rozsądna. Dopiero kiedy dostałam zdjęcia z wernisażu, zrobiło mi się żal.

Wczoraj wieczorem po raz pierwszy powiedziałam mu, że odchodzę.

Przed oczami znów mam jego gabinet. Ciężkie mahoniowe biurko, zapach drogich cygar, które palił tylko wtedy, gdy był wściekły, i jego twarz wykrzywiona tym grymasem wyższości, kiedy powiedziałam mu, że chcę rozwodu. Przez ostatni miesiąc zbierałam w tajemnicy wyciągi z funduszu, widząc coraz większe przelewy wychodzące na zagraniczne spółki konsultingowe, o których nigdy wcześniej nie słyszałam. Kiedy położyłam przed nim wydruk ostatniego transferu na dwanaście milionów złotych i zażądałam pełnego audytu przed złożeniem pozwu rozwodowego, myślałam, że zobaczę na jego twarzy strach. Zamiast tego pojawił się zimny uśmiech człowieka, który od dawna czekał na ten ruch.

– Nigdzie nie odejdziesz, Klara. – Złapał mnie za podbródek. Jego kciuk wcisnął się w moją dolną wargę. Poczułam smak krwi. – Jesteś moja. Twój majątek, twoje nazwisko, każdy twój pieprzony oddech. Zanim adwokat napisze pierwsze zdanie pozwu, nikt w tym kraju nie będzie chciał podać ci ręki.

Wyszarpnęłam się wtedy. Uciekłam na górę, zamknęłam drzwi sypialni na klucz i połknęłam dwie tabletki nasenne, marząc tylko o tym, żeby zniknąć choćby na kilka godzin. Pamiętam, jak siedziałam na krawędzi łóżka, ściskając w dłoniach poduszkę, podczas gdy z dołu dobiegał stłumiony odgłos jego spokojnych kroków na marmurowej posadzce. Nie krzyczał. Nie dobijał się do drzwi. Po prostu poszedł do gabinetu i zamknął za sobą ciężkie dębowe skrzydło, jakby po naszej rozmowie nic się nie wydarzyło. To jego nienaturalne opanowanie przeraziło mnie wtedy bardziej niż cokolwiek innego.

O drugiej w nocy obudziła mnie cisza. Nawet zegar w holu nie tykał. Zeszłam na dół, myśląc, że Hubert pojechał do którejś z kochanek albo zasnął w fotelu. W otwartych drzwiach gabinetu zobaczyłam kałużę krwi na jasnym dywanie. Obok leżał roztrzaskany telefon Huberta i kryształowy przycisk do papieru, który przywieźliśmy z Toskanii. Szuflada, w której trzymał zapasowy tablet i czarny pendrive, była uchylona. Oba urządzenia leżały na biurku.

Pomyślałam, że ktoś się włamał. Zrobiłam krok w stronę telefonu na biurku, żeby wezwać karetkę, i wtedy zobaczyłam zieloną diodę na panelu alarmu w holu. System był rozbrojony. Gdyby ktoś naruszył strefę ogrodu przy włączonym alarmie, ochrona zadzwoniłaby w ciągu kilku sekund.

Nie wiem, co mną wtedy kierowało. Może czysty, zwierzęcy instynkt przetrwania, który obudził się po dziesięciu latach uśpienia. Zanim zdążyłam zadzwonić na pogotowie, z oddali dobiegł mnie stłumiony dźwięk policyjnych syren. Ktoś już jechał. Ktoś wezwał patrol, zanim ja w ogóle zeszłam po schodach.

Spojrzałam na roztrzaskany telefon i na zieloną diodę alarmu. Jeżeli policja zastanie mnie nad tą kałużą, zobaczy rozciętą wargę i świeże siniaki po naszej kłótni. A co, jeśli właśnie na to ktoś liczył? Zgarnęłam z biurka tablet i pendrive, wrzuciłam je do torby i chwyciłam płaszcz. Kiedy wybiegałam bocznym wyjściem przez ogród, przed bramą hamował pierwszy radiowóz.

Na pierwszej całodobowej stacji terminal odrzucił moją kartę. Spróbowałam drugiej. To samo. Trzy kilometry temu wyrzuciłam telefon do studzienki. W radiu podali, że Hubert zaginął, i wymienili moje nazwisko. Powiedzieli, że policja chce się ze mną skontaktować.

Nie mam nikogo.

Z wyjątkiem jednego człowieka, który ma pełne prawo patrzeć, jak wykrwawiam się na ulicy, i nie podać mi nawet chusteczki.

Skręcam w wąską, zapomnianą przez miasto uliczkę starej, robotniczej dzielnicy. Asfalt jest tu popękany, pełen głębokich kałuż, w których odbija się martwe, pomarańczowe światło pojedynczej latarni. Parkuję w cieniu odrapanej kamienicy z czerwonej cegły, dwie przecznice dalej, i gaszę silnik.

Podnoszę wzrok na drugie piętro. W oknach panuje ciemność. Tylko z głębi budynku, przez brudną szybę klatki schodowej, sączy się słaba poświata nocnej żarówki. Ogarnia mnie panika – co, jeśli go tu nie ma? Co, jeśli przeprowadził się lata temu, a wyblakły napis na szybie to jedyne, co po nim zostało?

TOMASZ KOWALSKI – USŁUGI DETEKTYWISTYCZNE

Tomasz. Wiedziałam z dawnych, przypadkowo zasłyszanych plotek, że po upadku warsztatu ojca zacisnął pasa i urządził sobie małe mieszkanie na zapleczu własnego biura, żeby ciąć koszty. Modlę się w duchu, żeby tej nocy spał właśnie tam.

Na fotelu pasażera leży skórzana torba. Pod tabletem i pendrive’em mam kopertówkę z dowodem i gotówką odłożoną po zeszłorocznym wyjeździe do Mediolanu. Niecałe dwa tysiące złotych. Tyle mam na początek.

Przez dziesięć lat robiłam wszystko, żeby wymazać go z pamięci. Próbowałam zapomnieć o dotyku jego szorstkich dłoni na mojej nagiej skórze, o smaku jego ust, o zapachu tanich papierosów i smaru, który zawsze unosił się wokół niego jak obietnica wolności. Poznaliśmy się jedenaście lat temu, pod koniec zimy, kiedy w moim starym kabriolecie pękł przewód chłodniczy tuż przed warsztatem jego ojca na Woli. Pamiętam, jak wyszedł z kanału w czarnej od oleju koszulce, wytarł dłonie w szmatę i spojrzał na mnie tym swoim bezczelnym, przenikliwym wzrokiem, jakby od razu przejrzał całą moją arystokratyczną pozę. Przez kolejne siedem miesięcy wymykałam się z domu ojca, zrzucałam jedwabne sukienki i spędzałam każdą wolną noc w jego ciasnym pokoju na poddaszu, gdzie jedynym meblem był stary materac i stos podręczników do prawa karnego, z których uczył się do egzaminu oficerskiego. Przy nim po raz pierwszy w życiu nie musiałam niczego udawać.

W Kazimierzu Dolnym przez cały weekend udawaliśmy ludzi, którzy nie muszą wracać do Warszawy. Dokładniej mówiąc, ja udawałam. Tomasz miał w poniedziałek stawić się o siódmej na komendzie i zamierzał tam być, choćbyśmy mieli ruszyć o czwartej rano.

Fiat, którego pożyczył od kolegi, na każdej nierówności wydawał z siebie ten sam żałosny jęk. Za Puławami przestałam pytać, czy coś odpadnie. Tomasz otworzył okno, wystawił łokieć i zapytał, czy wytrzymam bez klimatyzacji.

– Nie. Zawróć.

Zjechał na pobocze. Dopiero kiedy zobaczył moją minę, roześmiał się i włączył kierunkowskaz.

Pokoik pod skarpą wynajmowała nam pani, która w dowodzie Tomasza zauważyła coś ciekawszego niż brak obrączki. Urodził się tego samego dnia co jej zmarły mąż. Dodała nam po ręczniku i przyniosła drugi koc, bo pierwszy, jak powiedziała, służył głównie do przykrycia plamy na narzucie. Na balkonie zmieściły się dwa krzesła pod warunkiem, że obracało się je na przemian. Wcisnęliśmy się na jedno. Na kolanach trzymałam pudełko z pizzą, a Tomasz rozlewał do plastikowych kubków wino, które gospodyni poleciła nam ze słowami: „Czerwone, ale od sąsiada".

Z miasta dobiegała muzyka. Pod balkonem ktoś co jakiś czas próbował przywołać psa tym samym gwizdem. Pies miał go w nosie. Śmiałam się z tego, aż w końcu Tomasz przykrył mi usta dłonią, bo gospodyni spała piętro niżej. Pocałowałam go w środek dłoni. Odsunął ją powoli i przez chwilę w ogóle na mnie nie patrzył. Patrzył na swój kciuk, jakby sprawdzał, co mu się właśnie przydarzyło.

Ojciec przysłał mi wcześniej dwa SMS-y. Pierwszy przypominał o bankiecie dla sponsora wystawy. W drugim pytał, czy mam przy sobie granatową sukienkę, którą wybrał do zdjęć. Odpisałam, że jestem poza miastem. Po minucie zapytał, z kim. Wyłączyłam dźwięk i położyłam telefon ekranem do dołu.

Tomasz opowiedział mi o swoim ojcu dopiero po północy. Henryk Kowalski zaczął od jednego stanowiska pożyczonego od znajomego. Przez pierwszy rok na bramie wisiała tabliczka malowana ręcznie, z literą W tak szeroką, że zabrakło miejsca na ostatnie I. Po trzydziestu latach ludzie wciąż mówili, że jadą „do Kowalskiego". Tomasz zapamiętał dzień, kiedy klient przywiózł auto po naprawie w innym zakładzie. Ktoś zakleił kontrolkę, żeby nie świeciła. Henryk rozliczył naprawę po kosztach części, a wieczorem kazał synowi zetrzeć z tablicy reklamę producenta, który namawiał go do sprzedaży podejrzanych zamienników.

– Powiedział mi wtedy: nazwisko masz jedno, samochodów przyjedzie jeszcze sporo. Strasznie mnie tym wkurzał. Miałem siedemnaście lat. Chciałem, żeby wreszcie zarobił na coś dla siebie.

– I zarobił?

– Kupił spawarkę. Twierdzi, że to dla siebie.

Zjadłam zimny brzeg pizzy. Tomasz sięgnął po ostatni kawałek i zatrzymał rękę, kiedy zobaczył moją minę. Podzieliliśmy go na pół. W domu ojca oddawano mi pierwszą porcję tortu, nawet gdy wolałam skrawek przycięty przy brzegu. Tutaj dostałam połowę i to mi pasowało.

W drodze powrotnej kupiliśmy od dziewczynki przy drodze papierową torebkę jabłek. Na odwrocie torebki namalowała domek. Powiedziała, że to nasz, bo zobaczyła, jak Tomasz trzyma rękę na oparciu mojego fotela. Chciała dostać za niego tyle samo co za jabłka. Dałam jej dwa złote więcej i schowałam papier do torby. Tomasz przypomniał sobie o nim dopiero na światłach przy wjeździe do Warszawy.

– Gdzie postawisz swój dom? – zapytał.

– Nad wodą.

– Przy Wiśle?

– Może być jezioro. I musi mieć okno, które sama mogę otworzyć.

Obejrzał się, bo uznał to za żart. Byłam jeszcze na tyle młoda, żeby się roześmiać, zanim zdążył zapytać, co miałam na myśli. Papierowy domek nosiłam potem przez pół roku w torebce. Tomasz chyba nigdy nie wiedział, że go zatrzymałam.

Pół roku po tamtym wyjeździe powiedziałam mu w deszczu, że jest dla mnie tylko pomyłką. Że dziewczyna z mojego świata nie może być z kimś takim jak on.

Ojciec zagroził, że zniszczy rodzinę Tomasza i wrobi go w kradzież, jeśli się nie rozstaniemy. Musiałam sprawić, żeby Tomasz sam nie chciał mnie więcej widzieć. Wtedy wierzyłam, że tylko w ten sposób mogę go ocalić.

W bibliotece przy Alejach Ujazdowskich zawsze pachniało pastą do parkietu. Jako dziewczynka lubiłam czekać tam na ojca. Dawał mi klucz do przeszklonej szafy i pozwalał wybierać albumy, jeśli umyłam ręce przed przewracaniem stron. Podsuwał mi też swój szkicownik z technikum. Na pierwszej stronie narysował tę samą szafę, tylko w innym mieszkaniu, sto kilometrów od Warszawy. Przez lata uważałam ten rysunek za dowód, że człowiek może zaplanować sobie życie, a potem dostać dokładnie to, co narysował.

Tego październikowego wieczoru w bibliotece był Andrzej Bielski. Widziałam go wcześniej na aukcjach, zwykle przy wieszaku z płaszczami albo obok mężczyzn, którzy potrzebowali czegoś od ojca. Nosił okulary w cienkiej oprawie i pamiętał imiona ludzi, którzy sprzątali kancelarię. Matka uważała to za oznakę wychowania. Dopiero dużo później zauważyłam, że pamiętał też ich nazwiska i wiedział, w których szkołach uczą się ich dzieci.

Ojciec poprosił, żebym zamknęła drzwi. Na biurku leżały zdjęcia wjazdu do warsztatu na Woli. Przed bramą widać było Tomasza, pochylonego nad kartonem, który trzymałam na masce swojego auta. Kupiłam wtedy drożdżówki dla całej zmiany. Jeden z mechaników ukroił sobie tylko brzeg serowej, żeby resztę zabrać po pracy córce. Na zdjęciu Tomasz patrzył na mnie, jeszcze zanim podniosłam wieczko.

– Od jak dawna? – zapytał ojciec.

Nie odpowiedziałam. Pomyślałam, że gdybym zaprzeczyła, wyjąłby zdjęcie spod drzwi pokoju w Kazimierzu. Nigdy nie dowiedziałam się, ile wiedział.

Bielski rozłożył następną kartkę. Miała być umową pożyczki podpisaną przez Henryka Kowalskiego. Załącznikiem było prawo do korzystania z tylnego stanowiska w warsztacie. Zdjęcie podpisu wyglądało inaczej niż podpis na paragonie, który Henryk wystawił mi za przewód chłodniczy. Powiedziałam to na głos. Bielski poprawił okulary.

– Pani ma bardzo dobre oko.

– To nie jest jego podpis.

– Być może. A jeżeli umowę podpisano przy kimś, kto chętnie zezna, że widział pana Kowalskiego? Co będzie pani wtedy radziła jego synowi?

Ojciec siedział na brzegu biurka. Nie krzyczał nawet wtedy, kiedy przesunęłam kartkę w jego stronę tak mocno, że spadła na podłogę. Kazał Bielskiemu przynieść drugą teczkę. Nie pozwolił mi jej zabrać. Pokazał wystarczająco dużo, żebym zrozumiała, co po zamknięciu biblioteki może trafić na biurko kogoś, kto Tomaszowi nie da czasu, by przyjrzał się podpisom.

– Nie zamierzam zniszczyć życia zdolnemu chłopakowi – powiedział ojciec.

– Po co więc te zdjęcia?

– Na wypadek, gdybyś dziś zrobiła coś głupiego.

Bielski stał już przy drzwiach. Rozejrzał się po bibliotece, jakby rozważał, czy wypada zostawić nas samych. Potem wyjaśnił, jak bardzo pan Leszczyński liczy na moją dojrzałość. Użył słowa „niestosowna”. W tamtym pokoju brzmiało to uprzejmie. Dopiero w samochodzie, kiedy powtórzyłam sobie całe zdanie, zrozumiałam dokładnie, do czego zmusili mnie przy biurku z albumami o malarstwie.

Najdłużej zastanawiałam się, czy powiedzieć Tomaszowi i poprosić, żeby wyjechał razem ze mną. Znałam go. Przed świtem stałby w warsztacie, a przed ósmą sam poszedłby z tym na komendę, pewny, że obcy człowiek w mundurze będzie chciał przeczytać wszystkie strony. Wtedy jeszcze ufałam ojcu w jednej sprawie. Wiedziałam, że zależy mu na tym, by ludzie, których skrzywdził, sami przyznawali, że przyszli do niego po pomoc. Nie chciałam, żeby Tomasz musiał kiedykolwiek do niego przyjść.

Pod tamtym blokiem stałam z pogniecionymi dokumentami w kieszeni płaszcza. Ojciec rzucił mi je na biurko godzinę wcześniej. Tomasz wyszedł z klatki w starej skórzanej kurtce. Uśmiechnął się i wyciągnął rękę, żeby odgarnąć mi włosy z policzka. Cofnęłam się o krok.

– Spójrz na siebie, Tomasz – powiedziałam wtedy głosem twardym jak kamień, czując, jak paznokcie wbijają mi się we wnętrze dłoni aż do krwi. – I spójrz na mnie. Naprawdę myślałeś, że to coś więcej niż zabawa? Ojciec załatwił mi staż w Genewie. Nie zamierzam spędzić życia w mieszkaniu z wielkiej płyty, licząc drobne na paliwo do twojego rozklekotanego auta.

Nigdy nie zapomnę momentu, w którym zgasło światło w jego szarych oczach. Nie krzyczał. Nie błagał. Przez kilka długich sekund patrzył na mnie tak, jakby próbował odnaleźć w mojej twarzy choćby cień dziewczyny, którą jeszcze wczoraj całował do utraty tchu. Potem po prostu skinął głową, schował dłonie do kieszeni i odszedł bez słowa, a ja stałam w deszczu tak długo, aż przestałam czuć zimno, dławiąc w gardle krzyk, który nie miał prawa się wydobyć.

Jeśli teraz mnie odeśle, pojadę prosto na komendę. Nie znam drugiego człowieka, który by mnie wysłuchał.

Wysiadam z samochodu. Zimny wiatr natychmiast wdziera się pod płaszcz, a deszcz bije mnie po twarzy jak lodowate igły. Wchodzę do ciemnej klatki schodowej. Pachnie tu wilgotnym tynkiem, starym dymem i biedą. Każdy krok na betonowych schodach odbija się głuchym echem, które brzmi jak odliczanie do wyroku.

Zatrzymuję się przed drzwiami na drugim piętrze. Moja dłoń wisi w powietrzu, drżąc tak mocno, że nie potrafię nad nią zapanować.

Zaciskam zęby i uderzam pięścią w drewniane drzwi. Cisza. Uderzam znowu – mocniej, szybciej, czując, jak gardło zaciska mi się z przerażenia.

– Otwórz, błagam… – szepczę, waląc otwartą dłonią w drewno, aż piecze mnie skóra.

Po chwili, która wydaje się wiecznością, z głębi lokalu dobiega mnie stłumione przekleństwo. Ciężkie, bose kroki na drewnianej podłodze. Szczęk metalowego zamka. Zasuwka. Drzwi otwierają się z impetem.

Tomasz stoi w progu. Ma trzydzieści siedem lat. W ciemnych dresach, z nagim torsem i potarganymi włosami wygląda niemal tak, jak go zapamiętałam. Tylko na klatce piersiowej dostrzegam kilka bladych blizn, których wcześniej nie było.

Mruży oczy w półmroku klatki schodowej. Kiedy mnie rozpoznaje, prostuje się.

Przygląda się moim przemoczonym włosom, brudnemu płaszczowi i mokrej koszuli. Uśmiecha się bez cienia serdeczności.

– No proszę. Pani minister we własnej osobie. – Ma jeszcze zachrypnięty od snu głos. – Jest trzecia nad ranem, Klara. Pomyliłaś adres. Tutaj mieszka plebs, pamiętasz?

Robi mi się gorąco ze wstydu. Przez te wszystkie lata wyobrażałam sobie, co powie, jeśli mnie jeszcze kiedyś zobaczy. Słowo „plebs” rzeczywiście brzmiało jak coś, co powiedziałabym tamtej nocy.

– Tomasz… Potrzebuję twojej pomocy.

Opiera przedramię o futrynę, po czym sięga do klamki.

– Raz już dałem się nabrać. Znajdź kogoś innego.

Drewno drzwi rusza w moją stronę. Natychmiast, nie myśląc o bólu, wsuwam przedramię w szczelinę. Ciężkie skrzydło uderza w moją kość, aż przed oczami stają mi białe plamy, ale nie cofam ręki.

– Zniknął, Tomasz! W jego gabinecie jest pełno krwi. W radiu podali moje nazwisko!

Drzwi przestają napierać mi na palce. Tomasz patrzy najpierw na moją dłoń, potem na rozciętą wargę.

Przez chwilę żadne z nas się nie odzywa. Rozpoznaję zapach dymu i pościeli. Dziwne, że po tylu latach pamiętam takie drobiazgi.

Tomasz cofa się o krok w głąb ciemnego biura.

– Wchodź – mówi. Otwiera drzwi na całą szerokość.

Koniec darmowego fragmentu

Dalsze losy Klary i Tomasza poznasz w pełnej wersji powieści.
wenparker.pl